

ROZMAITOSTCI.

Dnia 17 stycznia,

N^o 3.

roku 1846.

ZGUBIONY LIST.

Pewnej pięknej nocy w lecie r. 178.. brzmiała z okien znanego paryzkiego hotelu de Treuille wesoła wrzawa muzyki, śmiechów, wiewatów. Gościnny jego właściciel miał właśnie z dyplomatycznym zleceniem odjeżdżać do Londynu i wyprawił swoim przyjaciołom sutą ucztę na pożegnanie.

Jeden z gości, znużony zgiełkiem zabawy, wykradł się milczkiem z salonu, i nie chcąc kazać zajeżdżać powozowi, aby go nie przytrzymało, zeszedł niepostrzeżenie na ulicę.

»Parbleu!» rzekł sam do siebie — »Przez cały dzień w Chantill'skim lesie polować, a potem przez całą noc tu szaleć — to za wiele! Zresztą będą się oni i bezemnie tu dobrze bawić, jeżeli to w istocie można nazwać zabawą, gdzie wszyscy razem krzyczą, a pierwszy lepszy żarcik powodem do krwawych scen się staje. Ale widzę iż zaczynam moralizować, co jest przeciw duchowi czasu, bo nowsza filozofija nie gardzi bynajmniej uciechami, a rozkoszne wieczorynki pana barona d'Holbach przyczyniły się niemało do pomyslnych sukcesów encyklopedyi. — Hej, Jasmin, Bourguignon! Gdzież mój powóz! Oto — jeżeli się nie mylę aż tam na rogu ulicy. Czemuż tak daleko stanęli!»

Mruknąwszy to z niechęcią, owinął się baron Armand de Montréal w płaszcz szeroki, i ze spuszczeniem ku ziemi oczyma, udał się ku powozowi. Nagle stanął śród drogi i ujrzał nierozpieczętowany list przed sobą. Najchciwszy zbójca

nie rzuca się z większą skwapliwością na sakiewkę złotem napełnioną, niż baron de Montréal ten list stracony pochwycił. A że dopiero ledwo co dzień zaczynało, przeto nie mógł natychmiast go przeczytać, wsiadł więc niecierpliwie do powozu, kazał jechać czwałem do domu, i oglądał przez całą drogę swój elegancki bilecik, pachnący najwyborniejszą wonią, a ztąd zapewne ręką dostojnej damy pisany. Zaledwie przybył do swego mieszkania, nie mógł młody baron powściągnąć dłużej instynktu ciekawości i popełnił niedyskrecyję, którą jak sam w sobie chciał w mówić, jego niespełna trzeźwy po balu umysł, dostatecznie uniewinnił. Rozpieczętował tedy list i wyczytał:

»Monsieur»

»Miara moich nieszczęść jest dopełniona. Mój opiekun, p. Lebas, nie mając jeszcze dość na tém, iż mi najniewinniejsze skłonności za zbrodnie poczytuje, iż mię umyślnie zdala od świata trzyma, iż mi nawet mojej jedynej zabawki, książek i fortepianu wzbrania, chce mię jeszcze koniecznie za swego nigodziwego notaryjusza, którego pan dobrodziej znasz dokładnie, za męża wydać. Tylko moja odraza od podobnego zamęzcia, równa się uporowi, z jakim on ten obrzydły swój zamysł do skutku przywieść się stara. Woleć raczej umrzeć, niż pójść za męża za takiego nikczemnego, zgrzybiałego zazdrośnika. Nie mając zaś nikogo, coby się za mną ujął, uciekam się do pana dobrodziejza, do najczcigodniejszego z ludzi, dawnego przyjaciela mojego ojca, do pana, którego tylko nadmiar delikatności

od przyjęcia opieki nademną wstrzymał. Już nie raz byłeś pan dobrodziej łaskaw ofiarować mi schronienie w swoim zamku. Obecne okoliczności nie pozwalają mi dłużej ociągać się z przyjęciem jego łaskawej ofiary. Pański wiek i pańska reputacja chronią nas oboje dostatecznie od wszelkiej obmowy. Jutrzejszego wieczora, około 11tej godziny będę czekała u małej ogrodowej furtki, która prowadzi na dziedziniec. Gdyby tam pański powóz po mnie zajechał, i w niejakiiej odległości od furtki się zatrzymał, tedy zakryta ciemnym płaszczem, mogłabym nieopstrzeżona tych kilkaset kroków, aż do powozu przebiec, i za pomocą pańską ujęć niewoli, która z każdą chwilą okropniejszym jest dla mnie cierpieniem. — Lucylija.”

List ten sprawił na baronie większe wrażenie, niż gdyby on do niego samego był pisany. Czyż można bowiem piękniejszy wymyślić romans, który jeszcze tę miał zaletę, iż w sobie rzeczywistość zawierał. Młoda, przesładowana, i bez wątpienia nadobna bohaterka, despotyczny opiekun, przymuszone śluby, stary, brzydki na duszy i ciele narzeczony — co za pyszna dla szlachetnego paladyna sposobność podjęcia się obrony nieszczęśliwej piękności! Jakoż wierzyć można, iż to niebo samo barona Armanda de Montréal, do spełnienia tego bohaterskiego czynu wybrało. Co zaś do panny Lucylii, ta przecież nie mogła mieć nic przeciw temu, jeżeli zamiast czcigodnego przyjaciela swojego ojca, znajdzie młodego modnisią wersalskiego, zamiast ojcowskich napomnień, usłyszy czukę przysięgi i zapewnienia. A zresztą nie ma żadnego nazwiska na podpisie, co się także nie mało do ustalenia Armanda w jego zamyśle przyczyniło. Jakoż powziął wnet mocne postanowienie ocalenia Lucylii i ułożył plan odpowiedni. Lękał on się wprawdzie z początku, aby służyący, który ten list zgubił, nie uwiadomił o tém swęj pani, lecz zważywszy iż służy w takim razie zwykle dopiero w ostatniej chwili niedbalstwo swoje wyznają, uspokoił się znowuż, i spędził cały dzień na rojeniu sobie najpiękniejszych nadziei, i na staraniach około toalety.

Wieczorem o wyznaczonej godzinie czekał już baron na oznaczonym placu. Zasłonił sobie twarz kapeluszem z szerokiemi kłesami, i zakrył się płaszczem do niepoznania.

Wkrótce pokazała się w ciemności jakaś chybka postać — postać damy, która szybko ku powozowi dążyła, a ciągle poza siebie się oglądała. Armand wyszedł na przeciw niej, podał jej rękę, i wsadził ją do powozu.

Wszystko to stało się w okamgnieniu, bez odzwania się z jednej i drugiej strony, jak tego tajemniczość sceny wymagać się zdawała. Skoro jednak konie kościół św. Genowefy minęły, przemó-

wiła Lucylija tkliwym głosem wdzięczności w następane słowa:

„Jakżeś pan dobry, iżeś chciał się narazić na ten krok śmiały, aby mię z rąk moich przesładowców wybawić. Prosząc pana o to, polegałam na jego znanęj mi dobroci i przychylności, chociaż wiem iż każdy inny wziąłby mi za złe tę prośbę. Lecz pan mi przebaczysz, nieprawdaż? Jestto tak naturalną rzeczą, pragnąc wolności! Dla osiągnięcia tego najwyższego szczęścia — nie masz żadnego namysłu. Jedziemy do pańskiego zamku Argenteuil, nie prawdaż? do pańskiej żony, kochanej pani de Martigny... Lecz mówże pan coś przecież! Znudzę pana swoją gadatliwością!”

Przykro było w istocie baronowi, zniszczyć całą uciechę młodej dziewczyny, i jednym dźwiękiem swojego głosu, jak jedną fałszywą nutą w koncercie, zmącić radośną harmoniję jej młodocianych uczuć. Wszakże i Lucylija postrzegła z niejakiem zdziwieniem, iż jej czcigodny przyjaciel nieznośnie ambrą i waniliją wonieje, i pełno pierścieni ma na palcach. Aby ją nie od razu przerazić, zaczął Armand zeicha przemawiać. Lecz Lucylija poznawszy błąd swój natychmiast, krzyknęła przeraźliwie i chciała z powozu wyskoczyć. Baron de Montréal zatrzymał ją, mówiąc z wyrazem najkorniejszego uszanowania:

„Przebac mi pani.”

„Puść mię pan!”

„Nie lękaj się pani niczego! zaklinam panią.”

„To niegodziwa zdrada! Ktoż pan jesteś! Boże! Zginęłam!”

„Nie zginęłaś pani, lecz jesteś ocaloną! Spójrzj pani na mnie! Wyglądamże jak zbójca? — i możesze pani tę myśl przypuszczać, aby człowiek honoru, abym ja, baron de Montréal, był zdolny nadużywać nieszczęścia tak młodej i tak zajmującej damy?”

„Ha! Jeżeli pan tym jesteś, czém się być nie nisz, jeżeliś człowiek honoru, to odwież mię nazad do mego opiekuna. Przenoszę największe cierpienie nad hańbę podobnego zdarzenia.”

„Odwieżę panią nazad do opiekuna, byłoby okrucieństwem, którego byś ty sama, pani, pożałowała, gdybym twoje życzenia spełnił.”

„I cóż pan więc robić ze mną zamysłasz?”

„Chcę panią w bezpieczne miejsce zawieźć.”

„Chcesz mię pan zgubić! Myślisz może, iż jestem biedną dziewczyną, córką ubogich rodziców, względem których wszystkicho się bezkarnie dopuścić można... Mój ojciec nazywał się margrabia de Verneil. Och, czemużto już nie żyje, aby mię broniał!”

„Mademoiselle” odpowiedział Armand z tém większym uszanowaniem, lecz oraz z tym samym wyrazem galanterji — „Obawa pani jest prózną. Szu-

kałaś pani przyjaciela sześćdziesięcioletniego, ja pani daję w sobie innego, który nie ma wprawdzie i połowy tych lat czciogodnych, ale zato tém silniej orężem włada. Czyż pani tak wiele na tej zamianie tracisz? Liczyłaś pani na gorliwość przyjacieli, czyż nie możesz pani daleko więcej po ślepem poświęceniu miłości się spodziewać?»

»Więc pan mię kochasz?»

»Nie znamże pani nieszczęścia? nie słyszałem jej melodyjnego głosu? nie widziałem jej lic pięknych?»

Na to wyznanie ogarnęły sprzeczne uczucia serce Lucylii. To drżała na myśl swego niebezpiecznego położenia, to znowu nabierała zaufania do pochlebnych słówek barona; zdumienie i oburzenie brały kolejno wszystkie jej myśli; przymuszała się niedowierzać rzetelności oświadczeń swojego towarzysza, a radaby przecież była wierzyć w jego szlachetne zamiary. W końcu, przesilona tém wewnętrznym chwiewnym wzruszeniem, uległa swemu bądź-to rzeczywistemu bądź urojonomu nieszczęściu i zalała się łzami. Armand rozrzewniony tym ostatnim zarzutem, przysunął się bliżej do niej, i biorąc ją lekko za rękę, której mu nie usunęła, rzekł głosem szczerzego żalu:

»Jako, miałebym w istocie trwogą panią przemawiać! Tego nie zniosę. Miej pani lepsze o ludziach mniemanie! Jesteś w tej chwili bez obrony, ale byłbym bardzo niegodziwym, gdybym nie umiał szanować tego zdarzenia. Przypadek podał mi twój list pani w ręce; znalazłem go dziś rano na ulicy, gdzie go zapewne niedbały służący upuścił, a przed tobą pani o tém zamilczał. Dla mnie, któremu ten list tak niespodzianie do rąk się dostał, zdało się to być arcyzabawną krotochwilą, bo nam kawalerom z *Oeil-de-Boeuf* służy za godło: nie zważać na żadne niebezpieczeństwo, kochamy co nam nieznanne, i polujemy chętnie w cudzych kniejach. Jednakże w obecnym stanie rzeczy, przekonasz się pani, iż zarówno umiem być pełnym uszanowania, jak w innym razie trzpiotem i zapamiętałcem. Przylętn mam ją zażyłe znajomości, i niepospolitych przyjaciół, będziemy w stanie wystąpić śmiało przeciw okrutnemu pani opiekunowi. Tymczasem pozwolisz, aby mój wiejski pałacyk, który o kilka mil zład posiadam, za bezpieczne schronienie ci posłużył. Zostaniesz tam wolną pod dozorem mojej dawniej piastunki Weroniki i będziesz miała prawo nie przyjmować nikogo, nawet mnie samego.

Lucylija nie odpowiedziała nic na te zaspokajające słowa; lecz jej łzy i łkania zamieniły się z wolna w lekkie westchnienia. Powóz już dawno opuścił Paryż, minął dolinę St. Denis, a teraz zwracał ku laskowi pod Montmorency. Noc była prześliczna; tysiące gwiazd lśniły na ciemnym szafirze niebios,

a migotne promienie wschodzącego księżyca srebryzły uroczono listki drzew stojących przy drodze.

Znużona doznaniem wzruszeniem i długą jazdą, jak gołęb' w zacisznym gnieździe, usnęła Lucylija. Jej piękna główka chwiana kołysaniem się powozu, dotknęła nieraz twarzy barona, aż wreszcie łagodnie na ramię jego spoczęła. Armand przejęty daleko szczerzej losem swej towarzyszki, niż sobie sam to śmiał wyznać, przypatrywał się śpiącej w milczeniu. Żaden, chociaż najprzepyszniejszy widok, a nawet sam bal królewski, nie miał dla niego tyle wdzięku co ta cicha obecność Lucylii, i nie z wielkiem też zadowoleniem postrzegł, że powóz już w bramę podwórza wiejskiego pałacyku wjeżdżał.

Wiernie przyrzeczeniu barona, zajęła się stara Weronika najtroskliwiej przyjęciem panny de Verneil, nie odstępowała jej na krok, a co największym dowodem uszanowania z jej strony było — że się niedopytywała o tajemnicę Paryżanki.

Baron de Montréal wrócił nazajutrz do Paryża, powziąwszy wprzód od Lucylii najdokładniejsze zawiadomienie o niegodziwych zamiarach jej opiekuna, który rad był korzystać z niedoświadczenia swojej wychowanki, i mniemał, że ona nic nie postrzeżę, porieważ się nie uskarżała.

Zapobiegając aby opiekun straży krajowej w pogon za Lucyliją nie wysłał, lub jako przedmiot zgubiony po ulicach wygłaszać jej nie kazał, pospieszył sam go odwiedzić. Pan Lebas był właśnie w towarzystwie swojego zacnego przyjaciela, pana Bourdin, któremu Lucyliję chciał za małżonkę przeznaczyć. Twarze obudwóch odznaczały się prostaczą gburowatością, pozbawioną najmniejszej skry uczucia.

Na widok wchodzącego barona spojrzeli obaj wymownym wzrokiem po sobie, mniemając widzieć w Armandzie młodego modnisa, który pieniądze potrzebując, do nich pomocy szukać przychodzi. Baron de Montréal przemówił do nich spokojnie i z godnością, i wyłożył im wręcz powód swoich odwiedzin. Był jednak tak ostrożnym, iż im bynajmniej o przypadkowym znalezieniu owego listu nie wspominał, lecz tylko bezinteresownym przyjacielem panny de Verneil być się mienił.

Oświadczywszy wreszcie, iż Lucylija w bezpiecznym schronieniu zostaje, i że przeto niema potrzeby, aby ją publicznie poszukiwać, przedłożył nakoniec następane warunki, pod którymi ją wydać przyrzekł. Po pierwsze, ma Lucylija mieszkać odtąd u pani de Martigny, małżonki jednego z pierwszych radców parlamentowych; powtórne, nie będzie ją opiekun do poślubienia pana Bourdin przymuszał;— za to przyrzeka panna de Verneil nie wglądać ściśle w rachunki popularne, które jak słyhać, mają być w wielkim nieładzie.

Pan Lebas nie należał do ludzi, którzy dobre

wychowanie odebrali, a przeto namiętności swoje powściągać umieją. Owszem był rad iż pod pozorem słuszności mógł otwarcie przyganiać baronowi, i obsypał go też nieskąpą miarą wyrzeków i zarzutów, nazywając go polwarcą i zwodzicielem, a wreszcie dodając iż stary, powszechnie, jak on, znany ze swojej prawości notaryjusz, nie ma się czego lękać trzpiota, jakim jest baron.

„Porwać pannę!” powtarzał złośliwie, zaciągając sobie ręce z zadowoleniem — „to nie drobnostka, mój panie, za to nie jeden już wisiał. Kto wie, co złąd wyniknie! Czyż nie mógłbym pana o jego nazwisko prosić?”

„Baron de Montréal—” rzekł Amand dumnie.

„Dobrze, dobrze, panie baronie, nie zapomnę go, nie zapomnę. A tymczasem żegnaj paną.”

Armand ścisnął wzgardliwie ramionami i wyszedł.

Zanim jednak do swego mieszkania wrócił, udał się naprzód do pana Martigny, opowiedział mu szczerze wszystko, co się stało, i wysłuchał spokojnie naganę tego zacnego starca, który otwarcie mu oświadczył, iż ten krok nierozumny złe skutki za sobą pociągnąć może, iż panowie Lebas i Bourdin, wielu i możnych przyjaciół mają, i są w stanie zaszkodzić. W końcu przyrzekł pan Martigny odwiedzić wieczorem barona, i ozajmić mu, ile zdołał dla jego przyjaciółni w tej sprawie uczynić.

Gdy jednak baron do swego hotelu wrócił, zastał już na dziedzińcu straż sądową, która niezważając na żadne przedstawienia, przyaresztowała go na mocy okazanego królewskiego rozporządzenia, i kazawszy mu wsiąść do powozu, odwiezła go do Bastyli.

Ten niespodziany wypadek dotknął barona do żywego. Nie wiedział wcale jak miał to zdarzenie swoim przyjaciołom i krewnym donieść i wytłumaczyć. Wszystkie okoliczności tej przygody były tak romansowe i nieprawdopodobne, iż trudno było żądać, aby zwykli ludzie światowi w nie uwierzyli. Najbardziej zaś gniewało Armanda, iż biedna Lucylija przeto skompromitowaną zostanie, a jej niewinne imię po trybunałach sądowych i gorszych jeszcze językach ludzkich błąkać się będzie musiała.

Nasz nierozumny kawaler z *Oeil-de-Boeuf* mniemał zawsze, iż czuje tylko litość dla Lucylii, lecz było litość nadzwyczaj tkliwa i dojmująca, a oddalenie od panny de Verneil i samotność Bastyli powiększały ją z każdą chwilą. Pisać do niej nie mógł, gdyż wypadało się lękać, aby gubernator Bastyli nie uznał za potrzebę przeczytać list jego, i aby wten sposób schronienia Lucylii nie odkryto. Pan de Martigny odwiedził go kilkokrotnie, pocieszając, iż w końcu cała ta sprawa da się zgodą załatwić.

Tak upłynęły dwa tygodnie, w ciągu których odbyła się zacięta walka pomiędzy całą korporacją

notaryjuszów, trzymających stronę swego kolegi, pana Lebas, a konsyliarzami parlamentu, obstającymi za panem de Martigny i Lucyliją. Nareszcie rozstrzygnęła się sprzeczka na korzyść panny de Verneil. Przeciw zwykłemu porządkowi, dobra sprawa odniosła zwycięstwo.

Z jakąż niecierpliwością pospieszał Armand znówu tą samą drogą, którą przed dwoma tygodniami z Lucyliją do swojego mieszkania wiejskiego jechał. Zdało mu się, że nie ma końca tej drodze. Nareszcie przecież zajechał; staje przed gankiem, i bieży do pokojów. Pierwszą osobą którą spotyka jest stara Weronika, witająca go radośnie: „Ach, dzięki Bogu, że pana znówu mamy. Panna Lucylija nieustannie płacze a płacze.”

Margrabia podziękowawszy uprzejmym spojrzeniem Weronice, pospieszył w głąb domu — gdzie w małym salonie zastał swoją przyjaciółkę siedzącą w posępnym zadumanu. Ujrawszy go Lucylija, zdrzała z gwałtownego wzruszenia, i wcale ukryć tego nie mogła.

„Przynoszę pani dobre nowiny—” rzekł baron— „Odnieśliśmy zwycięstwo nad jej dawnym opiekunem. Ten niecny człowiek, który podstępym sposobem wyrok uwięzienia mnie uzyskał, nie jest już twoim opiekunem. Stary i brzydki Bourdin nie będzie już panią swojemi słubnemi zamysłami przesładował. Jesteś zupełnie wolną... Dawny przyjaciel jej ojca, będzie odtąd pani opiekunem; przyjechał on tu ze mną, i oto sam nadchodzi.”

W tej chwili wstąpił pan de Martigny, radca parlamentu, do salonu. Lucylija postąpiła naprzeciw niemu i rzuciła mu się do nóg. Czcigodny starzec podniósł ją i uściskał z rozczuleniem. Baron de Montréal przypatrywał się z rozkoszą tej scenie.

„Pan jesteś teraz ojcem panny de Verneil—” rzekł Armand do pana de Martigny. „Mogęz pana o jej rękę prosić?”

„O to należy pannę Lucyliję samę prosić!” odpowiedział pan Martigny — „a może panu przebaczy, żeś ją uwiózł.”

„Jestem pani winien zdać teraz sprawę z nierozważnego postępku mego: czy pozwoisz, abym cię jako baronową de Montréal do Paryża odwiózł?”

Lucylija zarumieniła się, i odrzekła zcicha: „Pozwalam.” Armand ujął ją za rękę, i ucałowawszy zapytał: „Więc mię pani kochasz?”

„Ach — oczekiwałam pana tak długo!

Maryja Taglioni wśród zbójców w Szwecyi.

Sławna tancerka odtńczyła już jedenaście przedstawień na teatrze Sztokholmskim, i zabierała się do wyjazdu ze Szwecyi, aby i Rosyję u swoich stóp ujrzała. Ciężko obładowany powóz podróżny

ulotnej Silfidy toczył się powoli wzdłuż brzegów jeziora Mälarskiego. Roje północnego ptactwa krążyły nad wod powierzchnią. Niedaleko od brzegu, na samotnie sterczącej skale, siedział jastrząb' morski ostrząc sobie dziób na nową zdobycz, a zdalekąd nadlatywało stado dzikich gęsi, i znużone wędrówką, zboczyło na spoczynek pomiędzy nadbrzeżnym szuwarem i sitowiem. Po tamtej stronie jeziora, w głębi posępnego krajobrazu, okryte lasem sosen i jodeł, zasypane masami bielejącego śniegu, wznoszą się wysokie góry, od których przeroźliwie mroźny wiatr dął po dolinie.

Panna Taglioni wychyliła się nieco przez okno, aby się przypatrzeć okolicy, lecz ujrawszy tak smutny, zimowy widok przed sobą, cofnęła się spiesznie, zalecając tylko dwom w szerokich futrach owiniętym służącym, aby pocztylijonów cożywo napędzali a tryngieltów nie szczedzili. Poczem otuliła się starannie ciepłą, różowym atłasem pokrytą szubą, włożyła rączki do jej bocznych kieszonek i skuliła się w głębi powozu, jak jaskółka, szronem porannym zwilżona

„Zizina” ozwała się po chwili do pokojowej — „nie odczytałabyś mi też ostatniej korespondencji?” Lecz panna Zizina nie chciała panią daremnie nudzić, bo najprzód zawierała te korespondencje zwykłe teżsame zawsze oświadczenia antreprenorów teatralnych i wielbicieli miłośnych, a powtóre, panna Zizina — spała. Była to opasła, krągła dziewczyna, córka byłego baletmistrza w małym miasteczku, która sama żadnych uroszczeń do poskocznych sztuk Terpsychory nie czyniła, mając to, czego nieba najzawołanysz Sylfidom odmawiają, to jest dziwnie bujną i obfitą tuszę. Dla zabezpieczenia się od zimna, nakładła całą prawie garderobę swoje na siebie, a owinięta jeszcze szalem swęj pani wokoło głowy, wyglądała jak oddalona na łaskawy chleb odaliska. Zresztą usnęła ona tak smaczno, iż panna Taglioni chybaby sumienia była nie miała, gdyby ją była zbudziła.

„Ha, trzeba sobie samej usłużyć” rzekła z uśmiechem i dobyła eleganckiej, złotem przyozdobionej kasetki z perłowej macicy, gdzie się różne nierozpieczętowane jeszcze listy znajdowały — listy, których większa część wczoraj w wieczór z wienkami i bukietami do nóg jej spadła, a które ona zawsze dopiero po odjeździe zwykła była otwierać, co rzeczywiście jej usychającym z serdecznej tęsknoty wielbicielom, najmniejszej nie przynosiło ulgi.

„Proszę! Co za szczęście!” zawołała panna Taglioni ironicznie, porzucając list pierwszy. „Ci rosyjscy magnaci bywają niezrównani w swoich przyrzeczeniach i ofiarach miłośnych! Z jakimże wdziękiem opisuje mi ten swoje rozkoszną willę na Sybirze! — A to co, mości książę!” dodała szyderczo przeglądając list drugi — „10.000 reńskich w kon-

wencyjnej monecie! Ach, gdybyż to pański papa wiedział, mój mości książę!” Poczem rzuciła ten list do innych na spód kasetki, i przetrząsała tak całą korespondencję.

Nagle zerwała się panna Zizina ze snu, zbudzona przeroźliwem wskrzyknieniem swojej pani. Taglioni podała pokojowej jeden z rozpieczętowanych przez siebie listów, wskazując drżącym palcem na podpis.

„Chrystyjan Malkolm!” przeczytała na wpół jeszcze we śnie subretka. — „Tak jest, ten słynny zbójca;” potwierdziła jej pani. — „O którym wczoraj tyle okropnych wieści nam powiadano!” — „Ten sam.” — „Wielki Boże!” — „Czytaj ten list Zizino.” — Zizina pospieszyła wypełnić rozkaz pani, i wyczytała następujące słowa: „Będę jutro czekał na drodze, którą pierwsza tancerka Europy pojedzie, i złożę jej moje uszanowanie, prosząc ją oraz o łaskę, której ona zapewne mi nie odmówi.

Chrystyjan Malkolm.”

„O nieba!” krzyknęła żałośliwym głosem pokojowa. „Zechce pewnie pieniędzy lub życia!” — „Bez wątpienia” — rzekła równie rzewliwie jej pani. „A to jutro jest dzisiaj!... Musimy copędzej do Sztokholmu wracać, i prosić o eskortę.”

Zizina była tegoż samego zdania, a na znak przyzwolenia, otwarła natychmiast okno powozowe i zaczęła z całego gardła krzyczeć „Nazad tą samą drogą do miasta. Pani tak każe!... Podwójny tryngielt, jeśli w godzinie do Sztokholmu zajedziemy.”

W tej chwili jednak, gdy pocztylijon miał tylko nawrócić, zagrzmiął jakiś głos, rozkazujący mu stanąć, a zarazem błysnęło dwadzieścia łuf karabinowych, sterczących z pobliskich krzaków.

Już od kwadransa wjechał był powóz w wązki parów. Po jednej i drugiej stronie drogi wznosił się ciemny las smerekowy, a szumiący w pobliżu górski potok przygłuszał wszelki głos ludzkiej mowy. Przestraszony pocztylijon siedział jak skamieniały na koźle, obaj służący schowali się w trwodze pomiędzy walizy, tuż zaś ku powozowi nadjechał jakiś słuszny, spaniały jeździec na pięknym jabłkowitzym rumaku, i skłonił się uprzejmie panie Taglioni. Było sam Chrystyjan Malkolm, postrach całej Szwecyi, którego policja już od dwóch lat nadaremnie śledziła. Miał na głowie czarny kapełusz z szerokimi krysami, z pod których również czarny długi włos spływał; wyrazista twarz jego kończyła się starannie utrzymaną bródką, sięgającą aż po złotą, dyjamentami wysadaną spinkę na białej batystowej koszuli; rece były gładkiemi rękawiczkami okryte, a wysokie do konnej jazdy buty, połyskały od glancu. Prócz tego miał na sobie piękną, sobolami podszytą kurtkę, spiętą pasem z bawolej skóry, za którym para podwójnych pistoletów tkwiła. Tak jak był ubrany, mógłby się być

Malkolm wyśmienicie na każdym świetnym maskowym balu pokazać. Na jego skinienie spuściło dwóch bandytów stopnie powozu i otworzyło drzwiczki, podczas gdy czterech innych ustawiło wokoło powozu rodzaj lektyki, wyłożonej starannie futrem, do której Chrystyjan z godną podziwienią układnością obiedwie damy wsiąść prosił.

„Przekonałaś się pani” rzekł do tancerki — „iż stawiam się wiernie w słowie; mocno pani dziękuję, żeś się nie wzdrygała wyjechać na wyznaczone spotkanie. Jedynym powodem ostrożności moich podwładnych jest twój pocztylion pani, który byłby nam ciebie uwiózł.”

„Ale czegoż pan właściwie odemnie żadasz?” zapylała drżąca Sylfida.

„Uchowaj Boże, abym miał czego żądać od pani. Proszę ją tylko o zaszczytowanie mnie swojemi odwiedzinami w moim przybytku. Ponieważ jednak droga w tę stronę dla powozu nie jest przystępną, przeto postarałem się, aby panią w tej lektyce wygodnie tam zaniesiono.”

„Prośba pańska” rzekła ośmielona nieco grzecznością zbójcy tancerka — „ma za nadto wiele — bagnetów za sobą, abym jej mogła odmówić.”

„Precz z bronią!” krzyknął dowódca opryszków. „Weźcie kufty panny Taglioni na plecy! A ci którzy lektykę poniosą, niech uważnie na dół po ścieżce schodzą. Jeden zwas” — dodał zwrócony do służących panny Taglioni — „pójdzie za nami, drugi zostanie przy powozie i będzie tu powrotu pani czekał. Dla bezpieczeństwa dodaję mu tu dzięsięciu z moich ludzi z rozkazem, aby go natychmiast rozstrzelali, skoro zechce uciekać.”

Po tych słowach dał Malkolm znak do wyruszenia. Lektyka niesiona przez czterech barczystych zbójców, znikła wkrótce w gąszcz parowu, zniżającego się wcoraz głębszą, stromą kotlinę. Panna Taglioni i jej służebnica drżały na całym ciele, gdyż rozkaz zabrania kufrów, przejął je nowym przestrachem. „Zginęłyśmy” szlochała niepokieszona Zizina — „Ach, cóż się z nami stanie!”

Panna Taglioni nie odpowiadała; uległa ona prawie zupełnie wrażeniu nowej trwogi. Ścieżka, po której je niesiono, wiała się krętym szlakiem ponad przepaścią, w którą rwiący strumień z hucznym spadał łoskotem. Łada pośliznięcie się którego z niosących je rabusiów, mogło panią i sługę w czarnej otchłani pogrzebać. Maryja zakryła sobie twarz ręką i oddawała się Bogu. Wszakże nieznacznie skręciła się ścieszka mniej niebezpiecznym torem, a wreszcie wniesiono je do jakiegoś dość przestronnej jaskini, gdzie może nie jedna ofiara już zginęła.

Głośny płacz pokojowej zwrócił teraz uwagę Malkolma; kazał więc zapalić pochodnie i zbliżył się ku lektyce, pytając czule o powód smutku panny Ziziny. Poczem zwrócił się do tancerki i rzekł:

„Mój piękny gość raczy mi zapewne przebaczyć, iżem go tą przykrą górską przeprawą tak wielkiego strachu nabawił. Niestety, nie masz innej drogi do mojego mieszkania. Złémwszystkiem nie powinnaś pani niczego się obawiać, gdyż czuвам nad jej niebezpieczeństwem. Jesteśmy już u celu” — dodał uśmiechając się na widok zdumienia Sylfidy. „Widzisz pani sama, iż nie mieszkam gorzej od innych ludzi.”

Jakoż w istocie zdumiewające widowisko przedstawiało się oczom panny Taglioni. Całe towarzystwo przeszło do drugiej, ogromnej groty, której skaliste ściany od rześisto wysterczających kryształów górskich, jakby od porozwieszanych wokoło zwierciadeł połyskały. Dwadzieścia wysokich świeczników z woskowemi świecami rozjaśniło dyamentowe mury i fantastyczne kolumny tego czarodziejskiego pałacu. Olsnione oczy mrużyły się mimowolnie od blasku tysięcznych promieni, i żaden pałac królewski nie mógłby spaniałego być wrażenia sprawić. W głębi tego uroczego przybytku stał zastawiony obiad wyborny. Lecz najbardziej zdziwił Sylfidę widok, urządzonego w tyle przestronnego teatru z dekoracyjami i zupełną orkiestrą. Za nadejściem pierwszej tancerki świata zabrzmiała przepyszna uwertura Rossyniego, a Chrystyjan Malkolm zgiął kolano przed sławną pięknością, i ozwał się drżącym głosem: „Przed kilką laty miałem to szczęście, widzieć panią we Francyi; chciałem koniecznie podziwiać panią raz jeszcze — oto moja jedyna prośba.”

Panna Taglioni była zanadto tak niewinnem rozwiązaniem tej katastrofy ucieszona, aby niespełnić z całego serca żądania pana Malkolma. Przyniesiono jej kufty, znalazła osobny namiot, przeznaczony na garderobę, i wkrótce zatańczyła nasza Sylfida śród grzmiących oklasków całego zgromadzenia zbójców i ich dowódcy.

Po skończonem widowisku, czynił Malkolm honory obiadu z układnością i manijerami doskonałego wychowania salonowego, a na pożegnanie podał tancerce bardzo piękną i kosztowną toaletkę. „Możesz pani bez trwogi przyjąć ten upominek” — rzekł spokojnie — „gdyż jesto jeszcze zabytek mego dawnego majątku — nim nieszczesne okoliczności i niewdzięczność ludzi, do chwycenia się rozbojów mię przymusiły.”

Nakoniec odprowadził Maryję sam do powozu, gdzie pocztylion i służący nigdy jej już więcej obaczyć się niespodziewali.

Wyjeżdżając z lasu rzekła Zizina do pani: „Tym razem uszło nam jeszcze — ale, na miłość Boga! — Nicchże pani na przyszłość natychmiast otwiera listy, skoro nadejdą.”

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 2gi i zawiera: 1) Na jakim stopniu doskonałości jest u nas gospodarstwo wiejskie w ogólności i w szczególności? przez K. J. Turowskiego. 2) Wpływ nawodnienia na vegetację drzewa. Podług Eugenijusza Chevandier. 3) O wystawie płodów przemysłowości w Wiedniu; przez Józefa Żywickiego. (Ciąg dalszy.) 4) Rafa cylindrowa konstrukcyi Walentego Giembarowicza z Kańczuży. 5) O zgromadzeniu ogólnem c. k. galicyjskiego towarzystwa gospodarczego. 6) Wiadomości handlowe.

Dzielnika mód paryskich pod redakcyą Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 2gi zawiera, prócz mód następujące szczegóły: 1) Przypomnienia z podróży po kraju przez Augusta Bielowskiego. (Dokończenie.) 2) Bóg i bajadera. Legenda indyjska (z Goetego.) 3) Zbrodnia i wyrok przysięgłych. 4) Teatr. 5) Nowości literackie.

Starożytności w Luxeuil. To małe francuzkie miasteczko jest pełnem najkosztowniejszych zabytków rzymskiej przeszłości. Ile razy gdziekolwiek kopać zaczęto, znachodzone zawsze najciekawsze osobliwości, jakoto: grobowce, monety, naczynia i t. p. I tak niedawno odkryto tam 18 rzymskich grobów, pochodzących bez wątpienia z pierwszych trzech wieków chrześcijańskich. Wszystkie groby są bardzo dobrze zachowane, a napisy dają się czytać z łatwością. Również i niektóre rzeźby, figury na grobowcach zdają się być jakby świeżo dziś wykonane. Wielu starożytników, którzy umyślnie dla zwidzenia tych osobliwości na miejsce się udali, utrzymują iż całe miasteczko Luxeuil na podobnie jak Herkulanum zasypałych gruzach leży.

Perjodyczność w zjawiskach ludzkiej natury. Podobnie jak wszelkie zjawiska wszechświata czyli tak zwanego makrokosmu, w pewnej niezmiennie powracającej kolei po sobie następują; tak też i wszystkie zjawiska natury ludzkiej, tego wszechświata w miniaturze, czyli tak zwanego mikrokosmu, oile one z właściwej konstytucyi indywidualnego człowieka pochodzą, mają także swoją stałe powracającą perjodyczność, jak np. wszelkie paroksyzmy epilepsyi, somnambulizmu i obłąkania. »Skłonność do samobójstwa» mówi znany doktor Gall — »równie jak i każda manja, odzywają się perjodycznie, a zjad wszelka kuracyja tych słabości bywa zawsze nader niepewna.» — Pewien mężczyzna, który sobie w 6tym roku życia kość w czole nadwerczył, doznawał każdego miesiąca napadów wściekłości, trwającej przez dni kilka; kto inny miał także co miesiąc gwałtowną żądze popełniania zbrojstwa, i chronił się przez ten czas do swego przyjaciela, który go przez cały przeciąg czasu tej słabości pod zamknięciem trzymał. Inni doświadczają w pewnych nawrotach jakiejś niezwykłej posepnosci, tęsknoty, lub też przeciwnie uciechy i wesołości, której sobie sami wytłumaczyć nie mogą. Ów zresztą prawdziwie dobroduszny J. J. Rousseau uczuwał w sobie kolejnie to miłość to nienawiść do całego rodu ludzkiego, i takżeż ma się rzecz niejako z całą naturą ludzką, w której równie jak w atmosferze, nieustannie zmieniały pogody, stoty, burzy i deszczów, ciągłą powracającą koleją.

Hachych. *) W południowej Azyi znana jest powszechnie roślina, nazywająca się *Cannabis indi-*

ca. *) Podług doniesienia francuzkiego lekarza Moreau, autora ciekawej monografii botanicznej pod napisem »*Du Hachych*» sporządzają tameczni mieszkańcy z tej rośliny upajający napój, zaparzając jej kwiat i liście w gorącym maśle, i dodając do tego nieco różanej albo jaśminowej esencji. Po zażyciu kilku kropel tego narkotycznego napoju, uczuwa się napróżd jakiś niepokój i lękanie się, poczem robi się gorąco w twarzy, i przejmuje miła wesołość duszę, pobudzająca do żywego, ciągłego śmiechu. Wszystkie zmysły nabywają nagle nadnaturalnej bystrości, przenikliwości i mocy. Cała atmosfera wydaje się natenczas przepelnioną najrozkoszniejszymi woniami i brzmieniami tysięcznych lubych dźwięków. Granice fizycznej możliwości znikają — miara przestrzeni i czasu ginie — sekunda staje się wiekiem, a jeden biegun świąta od drugiego tylko o krok oddalony. Zdarzało mi się często — opowiada doktor Moreau — iż po zażyciu hachychu, wiszący na ścianie mego pokoju portret, na który wtedy patrzyłem, przybierał natychmiast ruchliwe życie; głowa zdawała się wychodzić z tła obrazu, cała fizyjonomija nabywała wyrazu, jakim tylko życie przemawia, a osobliwie oczy patrzyły ostro, przenikającym strzałem duszy, i obracały się w swoich dołkach tak widocznie, iż byłbym przysięgł, że to są czary. — Dla sprawienia sobie najprzyjemniejszych widziadeł w tych ekstazach, otaczają się krajowcy przed zażyciem hachychu najprstrzejszemi i najwonnejszemi kwiatami, każą sobie przegrywać na brzmących instrumentach, i unoszą się przeto istotnie w urojoną krainę rozkoszy i szczęśliwości. Od niejakiego czasu zaczęli już i francuzi tego czarodziejskiego używać napoju, a zatem łatwo być może, że on wkrótce po całej Europie się upowszechni.

Ibrahim-basza bawił do niedawna w Marsylii, gdzie go w następny sposób opisują: Zwycięzca w bitwach pod Bejtan, Konich i Nezyb, urodził się w r. 1789. Jest on średniego wzrostu, dość dobrej tuszy. Gęsta biała broda zakrywa tylko w części ślady ospowe, któremi cała twarz jest okryta. Lubo ani młody, ani piękny, ma on przecież coś spaniałego, a nawet ujunającego w sobie. Ibrahim nie umie prawie wcale po francuzku, lecz mówi dość płynnie po włosku, a że ta mowa w południowej Francyi jest w używaniu, przeto, potrzebuje bardzo rzadko tłumacza. W towarzystwie, które komendant Marsylii na cześć jego u siebie zgromadził, okazywała »jego wysokość» nadzwyczajną uprzejmość dla dam obecnych. Ibrahim obszedł cały salon dokoła, stając przed każdą damą, i prawiej jej jakąś grzeczność przez swego tłumacza. Pewnej młodcy, bardzo pięknej dziewicy kazał powiedzieć, iż z niewymowną rozkoszą postrzega kwiat oryentu pod niebem Francyi. Piękna francuzka odpowiedziała mu po arabsku. Zdziwiony ten uprzejmie, rozmawiał Ibrahim z nią długo z widocznym upodobaniem. Osobliwie zajmującym było jego spotkanie się z Reszyd-Baszą, tureckim ministrem spraw zagranicznych. Zeszli się oni w wielkiej fabryce cukrowej margrabi Forbin-Janson. Najznakomitsze osoby miasta zgromadziły się w salonie margrabiego, oczekując przybycia Ibrahima, gdy niespodzianie Reszyd-baszę oznajmiono. W kilka chwil potem wszedł Ibrahim-basza z swoim synowcem. Minister turecki udał się naprzeciw niego, i aż do śniadania rozmawiali ci obaj najszlachetniejsi mężowie wschodu, niegdys przeciwnicy i nieprzyjaciele, z wzajemnem uszanowaniem. Zresztą nie było w ich postępowaniu ani

*) Znaczy po indyjsku napad szału wesołości.

*) Konopie, słowo indo-słowiańskie.

ślądu eryjentalnej etykiety. Wszystko miało pozór europejski. Obaj dostojni mężowie, niewzgardzili nawet winem hojnego gospodarza, i spili go odczo jego i dam zdrowie.

Połów wielorybów na wyspach Sztetlandzkich. Wiadomo, że wieloryby gromadnie ciągną, lecz nikt zapewne nie słyszał, aby kiedy tak wielka liczba razem ofiarą padła. Dnia 19go września okazało się mnóstwo tych potworów w zatoce Queenallbay, gdzie tameczni rybacy z wielką, jak się rozumie, radością je powitali. Skoro tylko okrzyk się rozległ, iż »wieloryby nadciągają!« wyruszyło naraz wszystko co żyje ku wybrzeżom. Przygotowano łodzie, uzbrajano się w topory, znoszono harpuny, dobywano wszystkiego, co tylko śmierć zadać mogło. Wreszcie spuścili się statki na wodę, a pozakacane, żyłaste ramiona rybaków, zaczęły z całej siły robić wiosłami. Był to niezwyčajne widowisko. Ciskanie harpunów (oszczepów), nacieranie na tę olbrzymią, tłumacząc się pomiędzy sobą masę, wścickie parskanie wielorybów, pasowanie się ich ze śmiercią, podczas gdy niektóre jeszcze przebiegły przez nieprzyjacie. Ale usiłowały + do wszystko razem sprawiło najszczerzejniejszy, niewymownie ciekawy widok. Rzeź ta trwała przez dwie godziny, był to bitwa dzikiej siły olbrzymów, z mocą rozumu! Poczem zabrzmiały głośne okrzyki radości! Przeszło 1500 wielorybów leżało na pobojowisku. Ani jeden nie uszedł — wszystkie złożono w jedną olbrzymią mogiłę. W całej historii łowienia wielorybów na wyspach Sztetlandzkich, nie masz przykładu tak obfitego połowu.

Talent muzyczny rodziny królewskiej w Hiszpanii. Przy ostatnim koncercie dworskim w miesiącu listopadzie r. z. śpiewała Jęj Mość Królowa Izabela ostatnią aryję z »Normy,« a potem odegrała kilka utworów muzycznych na fortepianie; jedno i drugie było — jak się rozumie — bardzo chwalebne; obecnie uczy się Jęj Król. Mość grać na arfie. Tegoz samego wieczora śpiewała królowa Krystyna z jednym z artystów kapeli nadwornej duet z »Wilhelma Tella.« Infancka Ludwika nie mogła mieć udziału w tej muzycznej zabawie, gdyż była się zaziębiła. Infant Don Francisco de Paula, który z córkami w chórze śpiewał, ma has prześlizgnąć. Następny koncert miał się odbyć w kilka dni później; dla urozmaicenia wezwano 40 gorałskich śpiewaków do spótdziału.

Ćwiczenia teatralne w szkołach wojennych stają się teraz coraz powszechniejsze. Na wzór uczniów szkoły paryzkiej urządzili także wychowawcy zakładu wojennego w Konstantynopolu podobne przedstawienia w różnych językach europejskich. Przy ostatnim popisie grao »Kupca Weneckiego« Szekspira po angielsku i »Chorego z urojenia« Mollera po francuzku. Wszyscy obecni Frankowie nie mogli się wydziwić czystemu akcentowi, z jakim młodzi panice muzykałmszy tak francuzkie aleksandryny jak i angielskie jamby wygłaszali. Na przyszły raz ma być przedstawiona turecka trajedyja i grecka komedyja. Wprzód jednak wyznaczono nagrodę za napisanie sztuki narodowo-tureckiej. Osnowy do trajedyi nie potrzebaly daleko szukać, jest nią obecny nieład i rozprzężenie się cesarstwa tureckiego; do komedyi posłużyłyby wybornie intrygi serajowe.

Najpiękniejszą kobietą świata była, jak się zdaje, Paula de Vignes, żyjąca w 14tym wieku w Tuluzie. Wszyscy spótcześni unosili się nad jęj wdziękami. Była ona tak piękną, iż ją we wszystkich językach wystawiano, nazywając ją cudem natury. Gdziekolwiek się pokazała, natychmiast otaczały ją roje mężczyzn, kobiet i dziewcząt, które nie mogły nasyć się jęj widokiem. Nawet z obcych krajów przybywali podróżni do Tuluzy, jedynie aby ją ujrzeć. Parlament Tuluzki obawiał się rozruchów z powodu zbytniego natłoku koło jęj domu, i prosił ją urzędownie, aby zawsze w grubej zastonie wychodziła. Lecz to rozporządzenie sprawiło jeszcze większe wzburzenie ludu, który w razie dalszego wzbraniania mu jęj widoku, przemocy użyć groził. Zaczęto musiał parlament wydać rozkaz, aby Paula co tygodnia dwa razy po godzinie bez zastony u okna stała, i ludziom patrzeć na siebie dozwala. Paula zaniosła skargę do króla o ten przymus, na co jęj uprzejmie, ale odmawiając odpowiedziano. Zachowała ona tę cudowną piękność aż do 80 roku życia.

Kodeks karny małżeński. Jeden z satyrycznych dzieł francuzkich udziela nam niektórych próbek z tej nowej pracy ustawodawczej: 1sze Przesłęstwo męża: Sprowadza przyjaciela na obiad bez poprzedniego zawiadomienia. Kara ze strony żony: Ma okropny ból głowy, nic nie je, i nie słyszy, kiedy się ją o co pytają. 2gie Przesłęstwo męża: Pali cygara. Kara: Nieznośny kaszel; gdy mąż wychodzi, żona otwiera drzwi na oścież. 3cie Przesłęstwo: Mąż użala się na zbytnei koszt gospodarstwa. Kara: Żona każe dawać tylko trzy leciuchne potrawy na obiad, tłumacząc się brakiem pieniędzy. 4te Przesłęstwo: Mąż sprzeciwia się żonie w towarzystwie. Kara: Okropne spazmy. 5te Przesłęstwo: Mąż zamysła przez cały dzień zostać w domu. Kara: Nieznośny tartas w domu od prania bielizny. — Zastugi męża: Składa żonie podarek na imieniny, jakoto kulczyki brylantowe, lub lożę zaambonowaną w teatrze. Nagroda: Czapeczka haftowana, lub pantofle wyszywane. Zastuga: Towarzyszy żonie na przechadzce. Nagroda: Żona zwidza wszystkie sklepy galanteryjne, kupuje rakawiczki, chustki dla męża, i przyjmuje po długim oporze podziwiany przypadkiem szal kaszmirowy — jedynie z miłości dla męża.

Dowcip lazaron a. W dzień otworzenia kongresu uczonych w Neapolu, leżał sobie pewien lazaroni przed kościołem, i wygrzywał się w słońcu. Usnąwszy przy tej zabawie, zaczął właśnie najrozkoszniej we śnie marzyć, gdy go jakiś suuk i hałas na ulicy przebudził. Przetarł sobie oczy, wstał i ujrzał się ogromnemi kupami kamieni i tłumem robotników otoczonym. Brukowano naprędce ulice Forcella, przez którą całe zgromadzenie do uniwersytetu przechodzić miało. — »Co wy też tu robicie?« spytał lazaroni jednego z robotników. — »Brukujemy« — odpowiedziano. — »Więc mamy jutro święto?« — »Cóżto, czy nie wiesz, że jutro odhędzie się zgromadzenie uczonych?« — »Uczonych!« powtórzył wychowaniec natury z podziwieniem. »Cóż to za ludzie?« — »Są to bardzo rozumni ludzie, którzy wszystkie rzeczy na świecie znają« — »Aha, i dla tychto uczonych brukujecie ulicę; są zapewne ostro podkuci.«